

## Nasze sprawy (opowieść o ludziach)

### 7. Grypa

Poranek był boleśnie szary. Chmury wisiały ciężko nad miastem okrytym grubą warstwą śniegu. Temperatura już od dłuższego czasu utrzymywała się na poziomie dwudziestu stopni poniżej zera. Czułem się pod psem, albo jeszcze gorzej. Bolało mnie gardło, głowa ciążyła ołowiem i w plecach coś klulo ... beznadzieja. Nie sądziłem, że będę w stanie zmusić się do wyjścia z domu, a już żeby otworzyć zakład? Forget it. Może George pomoże. Miałem znajomego, emerytowanego fryzjera, który zastępował mnie czasem, jak byłem niedysponowany. Może i tym razem zgodzi się pójść za mnie. Zwykle chce, żebym zadzwonił wieczorem, ale grypa ścięła mnie z nóg w ciągu tych kilku godzin nad ranem. Wczoraj wieczorem jeszcze czułem się nieźle. Na szczęście zgodził się i na kwadrans przed dziewiątą wpadł po klucze.

— Hi George, I am sorry about that - wykrztusiłem przez obrzmiałe gardło.

— It's OK. No problem at all. Just give me a key ... and don't breath on me - dodał szybko z uśmiechem wyciągając dłoń.

Podalem mu klucz.

— Take care - zawołał, odwrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do samochodu. Mimo zaawansowanej sześćdziesiątki, George był bardzo żwawym i zawsze gotowym, do pomocy mężczyzną. Coś szczególnego w tym człowieku było. Coś, co wprowadzało w dobry nastrój otaczających go ludzi. Poznałem go przypadkiem, jak szukałem narzędzi fryzjerskich. Zaopatrywaliśmy się u tego samego dostawcy. Od tego czasu spotykaliśmy się regularnie. Raz u nas, raz u niego. Mieszkał samotnie i miał podobne zainteresowania do moich. Grał w szachy i lubił ludzi.

W domu było cicho, jak makiem zasiał. Żona i dzieci już wyszły; żona do pracy, dzieci do szkoły. Zostały po nich rozgrzebane łóżka i nieład na stole w kuchni. Tyle razy mówiłem, żeby chować masło do lodówki, bo jeliczeje, ale gdzie tam. Kto by pamiętał o takich nieistotnych drobiazgach. Zawsze przecież można stare wyrzucić i kupić nowe, nie? - mówił syn twierdząc, że się za dużo czepiam. Czepiam się, czepiam ... - zamamrotałem pod nosem. Jakbym się nie czepiał, to nie byłby dziś tym, kim jest. Młodzień. Ledwo to od podłogi odrośnie, a już wszystko wie najlepiej. W przydeptanych pantoflach i w szlafroku stałem w kuchni zastanawiając się, czy posprzątać, czy iść do łóżka. Po krótkim i niezbyt intensywnym zmaganiu się z samym sobą, łóżko zwyciężyło, ale zanim wylądowałem pod koldrą, nastawiłem wodę na herbatę. Musiałem wziąć Tylenol, bez którego przecież, ani rusz - panaceum na wszelkie bólesci cielesne. W międzyczasie wkładałem brudne naczynia do zlewu, gdy zadzwonił telefon.

— Czy mogłabym rozmawiać z głów-

nym lokatorem - spytała przymilnie jakaś panienka.

— Słucham uprzejmie - odpowiedziałem równie miłym głosem - czym mogę służyć?

— Mam na imię Mary i dzwonię ze Stowarzyszenia Cukrzyków. Zbieramy używane rzeczy. Ma pan coś do wyrzucenia? Coś, co ktoś inny mógłby jeszcze wykorzystać?

Zastanowiłem się chwilę ... co ja mam właściwie wspólnego ze Stowarzyszeniem Cukrzyków?

— A skąd macie numer mojego telefonu? - spytałem zdziwiony.

— Z książki telefonicznej - odpowiedziała beztrudno panienka.

— Jak to? Przecież mojego telefonu nie ma w książce - odparłem.

— No, to może skądinąd - odparła nie zbita z pantalyku Mary. - No to jak, ma pan jakieś używane rzeczy?

— Zaraz, zaraz - próbowałem zatrzymać potok słów - proszę mi najpierw odpowiedzieć na moje pytanie.

— Tak naprawdę, to nie wiem - zwolniła trochę Mary - dostałam listę telefonów od prezesa, ale skąd on ją miał, to nie wiem.

— To poproszę do telefonu prezesa.

— Jego tu nie ma, ale mogę panu dać do niego numer.

Zapisałem podany mi numer i imię i spytałem:

— W jakim celu zbieracie używane rzeczy?

— A do czego jest panu potrzebna ta informacja? - odpowiedziała pytaniem.

— Chciałbym po prostu wiedzieć, czy moje rzeczy trafią do najbardziej potrzebujących.

— Sprzedajemy je do Vanitas Vanitatum, a za uzyskane pieniądze zasilamy kasę pomocy socjalnej dla cukrzyków.

— Za ile sprzedajecie? - spytałem

— Dostajemy od nich osiemdziesiąt centów za kilogram - odparła Mary, a mną zatrzęsło z oburzenia. Vanitas Vanitatum jest siecią amerykańskich sklepów handlujących używanymi rzeczami w Stanach i w Kanadzie. Towar dostają darmo, lub półdarmo i sprzedają go po tak wygórowanych cenach, że flaki mi się przewracają, gdy pomyślę sobie, że przecież to wszystko mogłoby służyć biednym ludziom znacznie lepiej bez pośrednictwa Vanitas Vanitatum. Żeby jeszcze dochód ze sprzedaży zostawał w Kanadzie, ale gdzie tam! Wszystko idzie do Stanów. Bogacą się tak szybko, że w tej chwili wszystkie ich sklepy są wyposażone w kamery podpatrujące, czy czasem jaki biedny nie ukradnie używanych majtek sprzedawanych po \$2,50. Sprytnie pomyślane. Wolny rynek, więc można.

— Czy pani zdaje sobie sprawę za ile Vanitas Vanitatum sprzedaje kupione od was rzeczy i ile na tym zarabia?

— Nie - zawahała się Mary.

— Za moją starą marynarkę dostaniecie od nich półtora dolara, a zostanie ona później sprzedana za dwadzieścia dolarów. Zbieracie dla nich rzeczy, a oni na tym robią kokosy ... i żeby chociaż te dobra trafiły do najbardziej potrzebujących ...

W słuchawce zaległa cisza.

— Proszę więcej do mnie nie dzwonić i usunąć mój numer z listy. Jak będę miał coś do oddania, to zadzwonię do Armii Zbawienia.

— Dobrze - odpowiedziała Mary - have a nice day - dodała jeszcze służbowo i się rozłączyła.

Spóźnione *thank you* nie miało już żadnego sensu. Przecież moje używane rzeczy były bez znaczenia dla Stowarzyszenia Cukrzyków. Mieli oni setki innych mieszkańców miasta, którym los ich zużytego dobytku był obojętny, a że trafił on w ręce bezwzględnych handlarzy starzyzną, zamiast do naprawę potrzebujących pomocy ludzi, to jest już całkiem inna historia.

Herbata z cytryną i z miodem trochę poprawiła mi humor, ale gardło bolało dalej. W końcu dotarłem do sypialni i tak, jak stałem, w szlafroku, wczółgałem się do łóżka i przykryłem koldrą na głowę.



Bolesław Łucki

## GALERIA SZTUKI FOTOGRAFICZNEJ WODOSPAD



Foto: Bolesław Łucki

## CZŁOWIEK POD WZGLĘDEM PRAW I POWINNOŚCI SWOICH

Jan Bętkowski

Kraków 1852r.



### Rząd i Władza

[fragmenty]

Bezprawie i nierząd wypływają z niedojrzałości rozumowej i zepsutych obyczajów państwa; wykształcenie umysłu i ugruntowanie moralności, czyli rozszerzenie oświaty i obyczajności, najpewniejszą jest podstawą, na której wzajemne stosunki władzy do podwładnych, rządzonej do rządu utrwalić się i postępnie rozwijać mogą. Naród w państwowym swym kształcie, jest żyjącą potęgą, która wzrasta, kształci się i doskonali, reprezentacja tej potęgi, rząd z całym zasobem ustaw i ożywiających ich duchem, jest także postępowym, idzie za życiem narodu, bo z niego wypływa. Jak więc dobrze zrozumianym interesem rządu jest wspierać objawioną dzielność narodu, przygotować go do dalszego w tej mierze rozwoju, i stawać się zawsze reprezentantem jego żywotnej dojrzałości; tak z drugiej strony interesem jest narodu, powinnością każdego obywatela, w uszanowaniu prawa i uległości jego władzy, dowodzić swojej dojrzałości, i przez coraz większe rozszerzanie moralności, pomagać rządowi do reprezentacji takiego życia, jakie się w ogóle pojawia. Każdy bowiem rząd włada i rządzi za pomocą ludzi z narodu do tego użytych, jeżeli więc ludzie będą rozumni i moralni, urzędując z prawością i sumiennością, uzacnią władzę, jako źródło należnej każdemu sprawiedliwości, a ztąd rękojmnią politycznej wolności i dobra ogólnego.

### Myśli z pogranicza SNU i POEZJI

#### widzenie 3

przede mną  
otwarte drzwi  
i próg  
zbyt wysoki  
matka przelożona  
mówi że to nie on  
się liczy tylko wiara  
z nią będziesz silny  
bez niej zostaniesz  
z tej strony  
na zawsze  
dym plecie  
zawiłe meandry życia  
odbitego w szkiełku  
na dnie  
tuż za progiem  
... gdzieś tu były  
drzwi

(eu-be)